Nr. 9. Cieszyn, dnia 15. grudnia 1893. Rok III.

DZWON

pismo demokratyczno-katolickie

Dzwon wychodzi 2 razy na miesiąc około 1. i 15. każdego miesiąca. Prenumerata roczna wraz dodatkiem wynosi 8 koron. półroczna 4 kor., na ćwierć roku 2 kor. W Wielkopolsce i Prusach rocznie 8 m. półr. 4 m. W Ameryce 3 dolary.

Radakcya i Administracya w Cieszynie Wyższa brama.

OGŁOSZENIA przyjmuje się za opłatą 6 centów od wiersza drobnego druku. Kalendarz na 1894 jako dodatek dla człon. Mac. kat.

Pisarze katoliccy powinni wszystkie swe siły wytężyć w tym celu, aby prasa służyła ku zbawieniu społeczności. **Leon XIII.**

„Prasa“ duchem Jezusa Chrystusa ożywiona, ulegająca powadze Apostolskiej, staje się olbrzymią potęgą: ona oswieca, głosi prawdę, demaskuje błędy, zbawia i cywilizuje; stać się ona może wzniosłem apostolstwem. **Kard. Alimonda.**

Clama! ne cesses, quasi tuba exalta vocem.... Is. LVIII. Deus dabit incrementum.

Wydawca X. Stanisław Stojałowski. — Odpowiedzialny redaktor: Karol Studencki.

Od wydawnictwa.

Dwie przyczyny złożyły się na to, żeśmy przez cały miesiąc listopad nie dzwonili. Przedewszystkiem wyglądaliśmy skutków naszych zażaleń, wniesionych w drodze legalnej do właściwych władz duchownych — i czekali ze strony tej części Duchowieństwa, która pospieszyła na wezwanie „Przeglądu“ z protestami — upamiętania. — „Uspokój się! zamilknij chwilę!“ pisali nam życzliwi, a my każdej rady w sposób życzliwy i przyzwoity udzielonej, chętnie słuchamy. Tem chętniej usłuchaliśmy jej w tym czasie, bo było nam to na rękę z tego też względu, że wykończenie kalendarza naszego wymagało skupienia sił w tym kierunku.

To drugie dało się osiągnąć, bo zależało od nas samych, więc też z niniejszym numerem wysyłamy tym wszystkim, którzy prenumeratę lub wkładki na „drukarnię Macierzy katol.“ złożyli, kalendarz na rok 1894.

Nadto w tym miesiącu wydamy jeszcze zaległe nra „Dzwonu“ — a tak wyrównujemy nasze w obec Szanownych Przedpłacicieli zaległości.

Z Nowym więc rokiem, nowe rozpoczynają się rachunki. Aby ułatwić więc wszystkim popieranie „Dzwonu“ i sprawy jasno określić, ustanawiamy przedpłatę roczną na sam „Dzwon“ na 3 złr. półroczną na 1 złr. 50 ct. (czyli 6 koron i 3 korony.)

Z dodatkiem książkowym,

kosztować będzie „Dzwon“ rocznie 4 złr. (8 koron) półrocznie (4 kor.) W dodatku książkowym pierwszym, damy znakomitą pracę Piotra Łętowa pod tytułem: „Socyalizm umiarkowany w myśl zasad chrześcijańskich“; dalej: „Rozmowa kapłana z socyalistą“ — „Idea antisemityzmu“ itd. Jesteśmy przekonani, że prace te z pod pióra światłych Kapłanów, przyczynią się niemało do rozjaśnienia kwestyj społecznych — i do uspokojenia umysłów, o ile one nie są rozgorączkowane udanemi obawami.

Jako nowość nadzwyczajną

możemy zapowiedzieć, że polemikę z konserwatystami w sutannie i bez sutanny — o ile ona nie będzie dotykać zasad wiary, a nie będzie stanowczo wykluczać osoby wydawcy „Dzwonu“ zupełnie i stanowczo z programu naszego wykluczamy. Tym celem na żaden artykuł, w którym nazwisko wydawcy „Dzwonu“ będzie wymienione, nie odpowiemy ani słowa. Mogą więc szanowni konserwatorowie starej zgnilizny swobodnie bujać, a my za to swobodniej będziemy rozświecać kwestye społeczno-polityczne. —

Jeżeli wolno zakończyć prośbą do Duchowieństwa, które się trzyma Ewangelii, nie zatęchłego kodeksu konserwatywnego — to dodamy: Pamiętajcie na „kolendę dla drukarni Macierzy katolickiej,“ W styczniu b. r musi być kupioną „maszyna pospieszna“ drukarska, która kosztować będzie około 1400 złr. Zakupno tejże uzupełni zakład drukarski — będący własnością ofiarodawców, a umożliwi częstsze wydawanie książkowych dodatków „Dzwonu.“ —

Duchowieństwo a sprawa społeczna.

Katolicki redaktor musi być rycerzem Stolicy św., obrońcą bezwzględnym prawdy i sprawiedliwości; duchowieństwo musi być nauczycielem i wodzem ludu swojego, nietylko w duchownej ale i społecznej walce — a walka obecna, to walka o przeobrażenie gruntowne istniejącego zmorszałego ustroju społecznego, niezgodnego ani z postępem ani z chrześcijańskiemi zasadami.

Taka jest w krótkości treść tego, cośmy w poprzednich nrach „Dzwonu“ przedstawili i wyłuszczyli w artykułach skierowanych do „Gazety kościelnej.“

Najważniejszą z tych trzech rzeczy jest przekonanie się o tem, że dzisiejszy prąd wieku, którego żadna siła nie wytrzyma, to dążność do reform socyalnych czyli społecznych. Przed kilku tygodniami nowy minister prezydent, ks. Windiszgraetz, w programie swoim i rządu, powiedział: „W zrozumieniu *wielkiego znaczenia polityki socyalnej*, niemniej po-

trzeby zaopiekowania się klasami pracującemi, poświęci rząd temu nadzwyczaj ważnemu w naszych czasach przedmiotowi, szczególniejszą uwagę.“ — A słowa te, niechby wzięli do serca Duchowni i powiedzieli sobie, że: „temu przedmiotowi nasza szczególniejsza należy się uwaga,” — bo gdy Duchowieństwo to uczyni, będziemy mieć nowy wiek „reformy socyalnej“ która Kościół uświetni — a jeżeli Duchowieństwo tego nie uczyni, przyjdzie wiek „rewolucyi socyalnej“ — w której za wszystkie szkody Kościoła odpowie przed Bogiem Duchowieństwo, odpowie i przed światem, może własną krwią swoją — a odpowie dlatego, że jeszcze ma czas zająć się sprawą, a słyszało głos encykliki Leona XIII., więc mu powie P. Jezus: „Jeżelibym nie przyszedł i nie był mówił“ — si locutus non fuissem, peccatum non haberent.

„Kto zginąć chce, płynie przeciw prądowi“ — powiedział trafnie niedawno ks. Lichtenstein, a dosadny w swych wyrażeniach X. dr. Scheicher z Wiednia, tak niedawno napisał w artykule pod tytułem: „Kler i kwestya społeczna:“

„Leon XIII. powiedział, że przyszłość należy do tego stronnictwa, które rozwiązanie kwestyi socyalnej na swoim wypisze sztandarze... a program socyalny przynosi życie lub śmierć stronnictwu.“ — A dalej streszcza obecne obowiązki Kleru w następujących trzech punktach: 1. „Kler musi czuwać nad tem: aby nie stracił zaufania ludu — nie obawiając się, że go za to spotka zarzut demokracyi lub nawet demagogii. 2. Kler przyjmie program socyalny ten, który na tę nazwę zasługuje... Skorobyśmy zaś istniejącego stanu społecznego niewolnictwa albo nie zrozumieli, albo nawet usiłowali ludowi wmówić, że ten stan jest wolą Bożą i niezmiennym, wtedy nasza religijna praca byłaby na nic. (Wenn wir dem Volke weisszumachen versuchen wollten, dass dieser „socialer Sclavenzustand ein göttlich gewollter, ein unabänderlicher sei,” dann wäre unser religiöses Wirken selbst bald *pro nihilo*). 3. Jeżeli te dwie rzeczy spełnimy, nie bójmy się socyalnej demokracyi, nie bójmy się niczego dla Kościoła!” A dalej pisze: „**Socyalne przeobrażenie wkracza niepowstrzymane na ten świat.** Nie długo potrwa, a może będziemy w położeniu nieść pociechę i tym, którzy dziś nie przeczuwają, że pociechy potrzebują.“

„Umiarkowanie więc i sprawiedliwość potrzebna nam wobec tych, którzy jak dziki potok grożą zalewem niwom, (a więc nie w obec możnych krzywdzicieli ludu P. r.) a jako gwiazda niewzruszona musi nam przyświecać: „**socyalna sprawiedliwość**!“ Ani łaska ludzi ani bojaźń ludzi nie powinna nam zaćmić tej gwiazdy.“

Tak pojmują obecnego ducha czasu mężowie światli i ducha Bożego — a nie widzą go tylko ci, którzy nie chcą widzieć dla tego, bo, jak mówi tenże X. dr. Scheicher, „zaopatrzeni zostali od panującej klasy w dobra, albo do ich spólnictwa są przyjęci.“ (welche von der herrschenden Klasse mit Gütern bedacht, oder in deren Gemeinsamkeit zugelassen werden.)

Tak pojmując ducha czasu i stosując do niego pojęcie o prawdziwem powołaniu Duchowieństwa zrozumiejmy, że nam potrzeba trzymać się nie trzeszczących w swych posadach pałaców bogaczy, ale z Chrystusem iść między głodne rzesze ludu i karmić je chlebem żywota, ale też, w miarę naszej możności, „rozmnażać ich szczupło wymierzony chleb“ — aby gdy ich „głodnych puścimy do domów, nie ustali w drodze.“

W tej sprawie nie odwołujmy się po „heretycku“ ciągle tylko na zasadę „miłości bliźniego“. Każdy, który prawdę Bożą fałszuje, powołuje się na zasadę miłości bliźniego i w imię jej żąda pobłażliwości i wybaczenia swego błędu i wyzysku.

„Naszą gwiazdą“ jak słusznie mówi dr. Scheicher nie ta ckliwa i fałszywa miłość, ale **prawda i sprawiedliwość** być musi. —

Nie bez powodu kładziemy nacisk na zasadę: „sprawiedliwości“ — bo miłość bliźniego tylko na jej gruncie zejść i kwitnąć może, a miłość bez sprawiedliwości jest czystą obłudą. Rozumieć to powinni przedewszystkiem Kapłani, którzy wiedzą, że Pismo św. nikogo nie chwali, że był „vir amans“ ale zawsze, że był: „*vir justus*“, a którym Kościół św. codziennie na początku dnia każe się modlić nie o miłość*) ale o „**czynienie sprawiedliwości.**“ bo ona sama jedna jest rozwiązaniem kwestyi socyalnej.

*

* *

*) Deus qui ad principium huius diei nos pervenire fecisti, tua nos hodie salva virtute, ut in hac die ad nullum declinemus peccatum, **sed semper ad tuam justitiam faciendam** nostra procedant eloquia, dirigantur cogitationes et opera. Per D. N. Amen.

Panie, Boże wszechmogący, któryś nam początku dnia tego doczekać pozwolił: zbaw nas dziś mocą Twoją abyśmy w tym dniu do żadnego grzechu nie zboczyli, ale zawsze do czynienia Twej sprawiedliwości zmierzały nasze słowa, kierowane były myśli i uczynki. Przez P. N. J. C. — Modlitwa poranna z brewiarza.

To niech służy za dokończenie artykułu: „Gazeta kościelna — a ideał organu Duchowieństwa.“ Pismo, które nie zrozumiało ducha czasu, ani jakie stanowisko Duchowieństwo zająć musi, jeżeli chce uratować godność swoją a ochronić społeczność od przewrotów, nie zasługuje na tytuł „organu Duchowieństwa“ — który zresztą samo sobie wzięło. A powiedziano dobrze, że „dowództwo można sobie wziąć z czasem — po złożeniu dowodów zdolności i ducha“ — dowódca mianowany z czyjejkolwiek łaski, choćby przypadku, prowadzi także armię — ale... do klęsk i rozbicia!

Przegląd polityczny.

Cieszyn dnia 12 grudnia 1893.

(Proroctwo spełnione — bankructwo parlamentaryzmu — poród nowego rządu — negacya zasadą — stanowisko „Koła pol.“ — program rządu — prawo głosowania — prawda w życiu publicznem i jej zastosowanie — antikoalicya — skutek takich sztuk parlamentarnych w Paryżu. —)

W pierwszej chwili po zadekretowaniu stanu wyjątkowego w Pradze, oceniając ten krok hr. Taaffego, napisaliśmy: „*Die Todten reiten schnell*“ nie przeczuwając, że ta przepowiednia tak prędko i w taki sposób się ziści. Nie przewidywaliśmy bowiem w jaki sposób hr. Taaffe dobiegnie swej mety. Byliśmy skłonni przypuszczać, że w parlamencie znajdzie się większość pojmująca swoje powołanie i tak przejęta ideami wolności i sprawiedliwości, że nie zechce uchwalić ustaw wyjątkowych — i upierającego się przy nich hr. Taaffego zmusi do ustąpienia.

Tymczasem stało się coś wręcz przeciwnego, co doprowadziło wprawdzie także do upadku gabinetu hr. Taaffego, ale bardziej jeszcze doprowadziło do upadku parlamentaryzmu, rzec można, do jego bankructwa w oczach zdrowej opinii — w oczach ludu. Parlament uważany był dotąd za palladium swobód obywatelskich, za wał ochronny przeciw zapędom absolutyzmu, za wyraz woli i życzeń ludu, słowem, mówiąc słowami konstytucyi i nauki, za zrównoważenie potrzebami i życzeniami i wolą rządzonych, woli i życzeń rządzących. Tak pojęty w abstrakcyi parlament przedstawia się jako drogocenny nabytek postępu, jako urzeczywistnienie prawdziwej wolności i samorządu ludów. Praktyka i ostatnie wypadki w Europie odebrały parlamentom ten urok i wykazały dowodnie, że zamiast absolutyzmu jednostki,

mamy absolutyzm stronnictw i kast, potężnych wpływem rodowym, a głównie finansowym.

Hrabia Taaffe dość późno, i nie szczerze, ale bądź co bądź zwrócił sie do mas ludu i wniósł projekt rozszerzenia reformy wyborczej, rozszerzenia prawa głosowania na masy narodu, pomimo haseł wolności i konstytucyi, pozbawione praw, a obdarzone jedynie wolnością rozbijania się po świecie za kromką chleba, lub wolnością poszczenia i ściągania żołądka. Jakie były kombinacye hr. Taaffego trudno odgadnąć. Czy chciał, jakośmy to powiedzieli, wywrzeć tylko nacisk na parlament? czy liczył, że stronnictwa się nie pogodzą, a on parlament rozwiąże i nowe przeprowadzi wybory? — to dowiemy się chyba kiedyś w przyszłości. To co teraz wiemy z pewnością to to, że wniesienie projektu wyborczego zdradziło i odsłoniło całemu światu, jako obecny parlament nie jest wyrazem woli ludu, a zasiadający w parlamencie tak zwani „p r z e d s t a w i c i e l e i w y b r a ń c y l u d u" nie są tem, czem się nazywają, lecz zasiadają na krzesłach kurulskich, dzięki przywilejowi nowego rodzaju, który się zowie g e o m e t r i ą w y b o r c z ą, inaczej, patentem na poselstwo rozdawanym przez rząd, przy spółudziale szopki wyborczej. Projekt reformy wyborczej wniesiony przez hrabiego Taaffego groził utratą takich patentów, a natomiast, dawał możność objawienia się w o l i l u d u. — I tego się zlękli r z e k o m i p r z e d s t a w i c i e l e l u d u! — Jużci nie wypadało im przyznać się całkiem otwarcie do tego — choć w chwili pierwszego strachu wyrwało się im słowo: „Jesteśmy zgubieni!" — więc znaleźli inny pozór, mianowicie ten, że „hr. Taaffe wniósł projekt reformy nie porozumiawszy się z pp. Hohenwartem, Jaworskim i Plenerem!"

Ale ten powód bardzo niezręczny, albowiem on także dowodzi, że panowie prezesowie klubów, przywłaszczają sobie preregatywy absolutyzmu, a iż bez ich woli nic wolno zadośćuczynić woli, życzeniom i potrzebom ludu.

Więc stała się rzecz dziwna, p r z e d s t a w i c i e l e l u d u usunęli hr. Taaffego wtedy, gdy d o l u d u s i ę z w r ó c i ł — i z a t o, ż e k r z y w d ę l u d u c h c i a ł u s u n ą ć.

A co dziwniejsza jeszcze, że zgodziły się na to, po długoletniej walce ze sobą, stronnictwa tak sprzecznych zasad, jak centraliści i autonomiści, katolicy i liberalni najskrajniejszego kierunku. Cóż ich pogodziło? N e g a c y a! czyli to jedno: „Nie chcemy Taaffego!" — Czytaliśmy dotychczas w pismach filozofa krakowskiego ze Szlaku, że „negacya każda jest zbrodnią, że samo powiedzenie: „nie chcę!" jest potwornością, burzeniem, bo negacyą nic nie da się zbudować! Aż oto nagle „negacya staje się zasadą" tych, którzy ją potępiali, i negacya ta służy na, miałki wprawdzie i piaszczysty, grunt nowego ministerstwa księcia Windischgrätza. Ciężki to był co prawda poród, i odbył się bez rodzonej i prawej matki — to jest parlamentu, który właśnie na czas porodowych boleści rozpuszczono do domu — ale że zwołano najzręczniejszych chirurgów i akuszerów, więc ostatecznie przyszło na świat to dziecię — o którem stary Rieger powiedział, że ma w sobie zaród śmierci.

„Koło polskie" dobrze chodziło koło interesów swoich — przepraszamy — około interesów „kraju", bo go uszczęśliwiło aż dwoma „ministrami-rodakami" — a to czyż nie jest dostatecznem wynadgrodzeniem za nieuregulowane rzeki, za odroczenie reformy wyborczej, za pogrzebanie reformy ustawy prasowej, za okrojenie budżetu rolniczego, przemysłowego itd. itd.?

Dzięki tym zabiegom „Koła pol." — a bardziej jeszcze dzięki „wytężeniu rozumu i patryotyzmu" namiestnika Galicyi, (który dla tego tylko nie wszedł do ministerium, bo lepiej być w Galicyi pierwszym, niż we Wiedniu drugim) utworzono gabinet księcia Windischgrätza, który przejął rządy po hr. Taaffem *cum beneficio inventarii*, to jest ze stanem wyjątkowym w Pradze, z z reformą wyborczą — i z nieocenioną reformą waluty, czyli złotą monetą bez złota. A ponieważ stare albo odgrzewane strawy potrzeba podawać przynajmniej ze świeżą garniturą, więc wykwintny książe Windischgrätz, potomek pogromców zbuntowanego w r. 1848 Wiednia, jako świeży garnironek do tych, przez hr. Taaffego nagotowanych dań, dodał od siebie zapewnienie, że będzie jeszcze sprężystszą posługiwał się administracyą i policyą — a z trójkorpusną koalicyą, zwróci swe usiłowania ku poskromieniu żywiołów s p o k ó j zaburzających, przyczem jednak nie pokrzywdzi szczerości, jawności i prawdy w publicznem życiu.

Ta ostatnia wzmianka o prawdzie w życiu publicznem, przywodzi mimowolnie na pamięć łacińskie „*lucus a non lucendo*", albo też oną szczerość i prawdę Roboama, który jak wiadomo, był następcą mądrego Salomona, i wystawił ojcu swemu nieboszczykowi takie świadectwo (o którem bylibyśmy się nie dowiedzieli, gdyby nie syn poczciwy): „Ojciec mój bił was batogami, ale ja was bić będę szkorpionami!" Innemi słowy hr. Taaffe o prawdzie i jawności w życiu publicznem nie gadał — ale ja z góry mówię, jakim będę — i zaraz to udowadniam, bo używam wyrazów: „żywioły spokój zakłócające" — pod któremi możecie myśleć co Wam się podoba, a ja myślę co mnie się podoba. —

Ale nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło. Któżby się był spodziewał, że z tego całego zamętu, z tych nienaturalnych koalicyj i związków rycerzy „wiary" hohenwartowskich i rycerzy „wolności" wedle modły Koła polskiego — wypłynie na wierzch to, czego serca szlachetne od dawna pragnęły — mianowicie, „a n t i k o a l i c y a s ł o w i a ń s k a"! Dla nas którzyśmy tę ideę już w r. 1891 w „Polsce" podnosili, utworzenie tej koalicyi słowiańskiej, jest jakoby z o r z ą wschodzącego słońca. Boli to i zawstydza, że koalicya słowianska nie od Polaków wychodzi, a bardziej to, że się tworzy bez Polaków, a po części p r z e c i w Polakom, jako jedną z grup, tworzących trójnożną podporę rządu księcia Windischgrätza. No! na to nic ma rady. Nasze Koło polskie oddawna skołowaciało, a nie wyleczy się już z tej słabości — i na nią umrze. Wtedy przyjdzie czas, że w koalicyi słowiańskiej znajdą się też Polacy — i tej dopiero koalicyi słowiańskiej, uda się przywrócić Austryi wewnętrzny spokój, nie na zasadzie jakiejś chimerycznej zasady faktycznego — choćby nielegalnego — p o s i a d a n i a, ale na zasadzie sprawiedliwości i prawdziwego równouprawnienia a rzetelnego samorządu.

Miejmy cierpliwość, p r a w d a ma czas jako Bóg, bo od Boga pochodząc i w Nim źródło swe mając, nie umiera.

Prawdzie też wszystko służy ku dobremu — upór konserwatystów, sobkowstwo i zacietrzewienie uprzywilejowanych, a nawet zboczenia rozgorączkowanych i niecierpliwych. Zboczenia te to zbrodnie, podciągane pod jeden mianownik a n a r c h i i i a n a r c h i s t ó w. Mówią jednak badacze ludzkiej natury, że *nemo malus gratis* to jest, że ludzka natura na drogi złego i zbrodni nie rzuca się dla samego zamiłowania lub upodobania złego — jako złego, zwłaszcza gdy wie, że mu to nie ujdzie bezkarnie.

Zamachy więc anarchistów, dla tych, którzy uwzięli się utrzymać wszystko w swojej ręce i przedłużyć chwilę swego używania, są *mane, tekel...*

Bomba paryska nie bez powodu zastraszyła parlamenty. Dziś na nich spada odpowiedzialność za ustawy i ciężary pod któremi lud stęka. Wszak choćby w tych ostatnich czasach Panama we Francyi panamino we Włoszech, ustawa wojskowa w Niemczech, odrzucenie Home-rule irlandzkiego w Anglii, reformy wyborczej w Austryi, to sprawy za które nie monarchowie, nie rządy, ale odpowiadają parlamenty!

Szlachcicowi-rolnikowi z nad Dniestru.

Słowo bratnie.

Czcigodny Panie!

„Kilka słów“ Twoich, Czc. P., „o wiecach włościańskich i o naszej szlachcie“ umieszczonych w „Gazecie Nar.“ z 27 listop. b. r., są pierwszem słowem prawdy, którego od lat 20 daremnie szukałem w pismach, zwących się konserwatywnemi — więc przeczytawszy je jednym tchem od początku do końca, zawołałem: to mi szlachcic prawdziwy, to brat godzien szacunku i zaufania!

A tak zawołałem, pomimo żeś się Panie i Bracie, obszedł ze mną dosyć niełaskawie — bo nie chodzi mi o to, co tam kto sobie o mnie myśli, ale jak sądzi o sprawie, która się stała ideałem i treścią mojego życia — o sprawie ludowej.

Na to dawno wyczekiwane słowo prawdy ze strony szlacheckiej, nie mogę milczeć, tembardziej, że obowiązek sumienia, ze względu na dobro Ojczyzny, nie pozwala mi pozostawić bez odpowiedzi tego poglądu, jakoby mój udział w ruchu ludowym groził jakiemś niebezpieczeństwem dla Ojczyzny, a polegał głównie na wszczepianiu jadu przeciwko szlachcie.

A więc przyjmij Czcigodny Panie, to co powiem tak życzliwie i z dobrą wolą, jak ja przyjąłem to, co Ty napisałeś.

Oświadczam najpierw, że na Twoje, Czcigodny Panie, w wymienionym artykule wypowiedziane zasadnicze uwagi w sprawie ludowej, w zupełności się zgadzam — bo są to zasady i przekonania, które od ćwierć wieku głoszę i za które walczę.

„Naród bez chłopa, piszesz, być nie może już teraz, a tylko ten naród jest silnym, w którym włościanin jest patryotą“. — I dalej: „Z całą najdalej idącą lojalnością i z całem przywiązaniem i poświęceniem dla korony i dynastyi, powinniśmy umieć połączyć gorącą i prawdziwą miłość dla kraju, nie żywić w swem sercu tylko galicyjskiego patryotyzmu, bo to mizerna i egzotyczna roślina — na zagonach Chrobrego..., może być tylko jedno prawdziwe poczucie narodowe, a tem jest — polskie.“

Wszystko to, Czcigodny Panie, co w tych słowach wypowiedziałeś, było moim punktem wyjścia, gdym kapłanem zostawszy, a mogąc w spokoju pożywać chleba w obfitości, obrał przed 20 laty zawód redaktorski ludowy — o którym znowu Ty sam, Cz. P., mówisz, że „to praca trudna, żmudna, niezabawna i nie przynosi ani szumnych tytułów, orderów, ani milionów“— a ja dodam: że naraża na tysiączne przykrości, zawody, ogołocenia — i więzienia. —

Wiedziałem to, ale i ja powiedziałem sobie: „A cóżby się miało stać z naszą Ojczyzna,“ gdyby się nikt nie zabrał do tej niezabawnej pracy? — i dlatego do niej się zabrałem i ani jej nie porzuciłem, ani nie porzucę, bo wiem, że jeżeli sam nie będę godnym przed Bogiem zatknąć u mety — odrodzenia Ojczyzny — zwycięzkiego sztandaru, to przecie mój trup uściele ku temu drogę dla tego, kogo Bóg wybierze za godne narzędzie zwycięstwa.

A zaczynając przed 20 laty tę prącę i ja tak samo, jak Ty dziś „Czcig. Panie, mówiłem sobie: „Czem byłaby Polska bez szlachcica polskiego?“ — i nietylko jako hasło pism swoich przyjąłem słowa Zygmuntowe: „Z szlachtą polską polski lud“, ale też przez lat wiele chodziłem od szlachcica do szlachcica i nie tylko radziłem, ale rzec można, żebrałem: „Wejdźcie w rzeczywiste położenie i potrzeby włościan — stańcie na czele ludu,“ bo, dodawałem „jak Wy nie staniecie, przyjdą inni — i skończy się z Wami!“

Żyjący dziś jeszcze, a stojący na czele „kliki krajem trzęsącej“ — których jedynie dla tego nie wymieniam, bo nomina *odiosa*, a chiałbym w tem piśmie uniknąć każdego *odiosum* — niech powiedzą, czy to nie jest prawdą? A jeżeliby zaprzeczyli, mógłbym ich nie tylko wymienić, ale nawet ich listy własnoręczne ukazać, w któych się od tej pracy wymawiali.

Tak więc nie popierany, a raczej odpychany przez szlachtę, walcząc z rozlicznemi przeszkodami, lat prawie dziesięć pracowałem, w tem jednem czerpiąc siłę, żem widział, jak pod słomianą strzechą coraz gęściej iskrzyły się płomyki — i rozrastały się w ogniska prawdziwej miłości Ojczyzny; — żem słyszał od dawna ten głos z setek wydobywający się piersi: „Polska rośnie w sercach naszych!“ Sądziłem też, że wytrwałością przełamię zamiłowanie „próżności, zachcianek i lenistwa“, a przeżyję mizerną roślinę „galicyjskiego patryotyzmu“, o której nie myślałem, że tak wybuja jak powój dziki, okrywający pozornie piękną osłoną strom dębu — a w rzeczywistości wysysający jego żywotne soki. Sądziłem wreszcie, że zdobywszy mandat sejmowy, w Sejmie wytoczę sprawę, którą znana klika dusiła po za Sejmem.

Ale gdy właśnie ten ostatni mój zamiar stał się jawnym, wywołał on cały szereg tego, co Ty sam, Czcig. P., nazywasz „niemiłosiernem prześladowaniem, nieudolnemi i niezręcznemi procesami“ — a co trwało nie mniej nie więcej, tylko lat dziesięć i dwa miesiące, póki za łaską Bożą proces krakowski nie odsłonił światu prawdy — prawdy, że „szlachta galicyjska w domu i za granicami kraju uszczuplony ma niestety szacunek“ bo milczała — a *qui tacet consentire videtur* — na wszystko co czyniła „klika krajem trzęsąca“ dla zgnębienia „sprawiedliwości i sprawy ludowej“ — zasłaniając to wszystko mojem nazwiskiem. Jużci, tak trzeba było jej robić, bo przecie nie wypadało głośno mówić, że się nie chce wieców, ani sprawiedliwości dla ludu, ani wcielenia go w organizm narodu. Wzniecono więc hałas iście piekielny około mej osoby, a wrzawa i tumany kurzu, wśród których, słychać było tylko moje nazwisko, miały zagłuszyć moje nieprzerwane mimo tych alarmów wołania: „Niema narodu bez chłopa, więc zaprzestańcie demoralizacyi wyborczej, nie rozbijajcie wieców; przypuśćcie chłopa do rady w sejmie i parlamencie — *a zapytajcie jego samego, kogo on posłem mieć chce i czego sobie życzy.*“

Czy to moje wołanie można nazwać buntowaniem, zasiewaniem jadu, jątrzeniem itd.? Wszak Ty sam, Czcigodny Panie, uznajesz to za słuszne i zgodne z postępem czasu? A przecie za to tylko, wyczerpano przeciw mnie cały arsenał środków, iż najmniej powiem, niegodnych, sądząc, że mnie usunąwszy, będzie można nie uczynić żadnego ustępstwa dla „sprawiedliwości i nowych idei!“ — A przecie każdy nie zaślepiony widzieć to może, że nie koalicya trójnożna, ani nie trójprzymierze przyniesie zbawienie Ojczyźnie, ale „naród silny, w którym chłop jest patryotą.“

To wszystko co dotychczas opowiedziałem, miało na celu przekonać Cię, Czcig. Panie, że zasady Twe, wypowiedziane w uwagach o „wiecach i szlachcie“ są mojemi zasadami od lat 20, które nietylko piórem głosiłem, ale i w czyn

— nie bez współudziału szlachty a bez burzenia — zamienić usiłowałem. Ale zasady takie wolno w Galicyi bezkarnie napisać, ale nie wolno je bezkarnie chcieć w życie wprowadzić — a kto się na to odważy, doświadczy mojego losu.

Lecz prawdę można zagłuszyć do czasu, ale nigdy zgnieść; więc prawda, którą Ty Czcig. Panie, w twoich uwagach wypowiedziałeś — a ja ją ucieleśnić chciałem, nie mogła zaginąć — i rosła a dojrzewała zdaje się o tyle szybciej, o ile bardziej rażącemi były „nieudolne prześladowania.“

Więc ja też nigdy na dziwne me losy nie narzekałem i przez wiele lat, rzec mogę bez przesady, dawałem sobie ciosać kołki na głowie bez skargi — nigdy też, aż do tej chwili, zemsta lub chęć odwetu nie stała się pobudką mego działania.

Że się broniłem przed trybunałami, że bezustannie napadany w konserwatywnych pismach i zasypywany „śmiesznemi“ jak ich słusznie nazywasz, protestami, muszę otrzepywać się z tego kurzu i błota — toć przecie rzecz nieunikniona, zwłaszcza, że w tem wszystkiem nie chodzi o moje *osobiste sprawy*, ale o zasady i kierunek w pracy ludowej — a zatem z obowiązku, zasad tych, w których słuszność i prawdziwość wierzę — bronić muszę.

Niewłaściwem więc i nie słusznem jest Twoje, Czcig. Panie, twierdzenie i dzielenie mej pracy jakoby na dwie epoki — jednej szczerej, zakończonej „niemiłosiernemi prześladowaniami“ — a drugiej, natchnionej zemstą, chęcią dokuczania i dążnością burzenia, a polegającej jakoby na występowaniu przeciw władzy duchownej i wszczepianiu jadu przeciw szlachcie.

Jak od początku tak i dzisiaj, celem moim jest to, co powiedziałem na wiecu w NSączu: „p r z e z l u d p o l s k i d o P o l s k i,“ — celem dziś o tyle goręciej umiłowanym, że mi wybujanie „g a l i c y j s k i e g o patryotyzmu“ wygląda na „z a t r u w a n i e n a r o d o w e g o d u c h a.“

Środkami do tego celu są: pisma polityczne, wiece, towarzystwa ludowe. To robiłem od początku — to dzisiaj.

W czem więc jest różnica?

Różnica jest jedna — a mianowicie ta: Przez lat 10 wierzyłem, że szlachtę przekonam, do spółdziałania skłonię, więc ciągle — choć nieśmiało — odzywałem się o „zaufaniu do starszych braci.“

Przekonawszy się zaś dowodnie, że szlachta nie chce wieców, że nie jest skłonną zarzucić dzisiejszego, przez Ciebie Czc. P., tak słusznie napiętnowanego sposobu wybierania; przekonawszy się, że o spółdziałaniu nie ma mowy — a jest za to dążność zgniecenia całego ruchu ludowego „p o l i t y c z n e g o“ wraz z usunięciem mej osoby z widowni świata — musiałem zaprzestać chodzenia po panach bratach i zapraszania ich do pracy, musiałem przestać marzyć, mówić i pisać o zaufaniu „do starszych braci“ — a natomiast muszę mówić ludowi otwarcie: „Pomagaj sobie, a Bóg ci pomoże! — gardź kiełbasą wyborczą, bo to cię poniża; zdobywaj sam mandaty, bo ciebie nigdy nie pytali — i nie chcą pytać, kogo chcesz mieć posłem — a kto z życzliwości ku tobie posłem się być pokusi — tego się ciągnie przed sądy“...

Czyż może w tej zmianie, spowodowanej zachowaniem się szlachty, jest buntowanie, burzenie, powstawanie przeciw władzy?

Jeżeli jest — to nie moja wina. Mogęż powiedzieć: „Kiedy szlachta nie chce wyborów bez wódki i kiełbasy — więc jedźcie i pijcie?“ — albo: „kiedy Was nie chcą pytać, kogo chcecie mieć posłem — to wybierajcie tych, których Wam wskazuje komitet centralny?“ Toż przecie Ty sam, Czcig. Panie, takich rad nie dajesz!

A jeżeli władza duchowna odsądza mnie od probostwa bez przesłuchania i tłumaczenia — z a o c z n i e — gdy *in usum delphini* biskup nie dopuszcza mnie do ołtarza, mogęż nie bronić praw moich na drodze prawnej? Gdy wreszcie na chwilę nie ucicha wrzask w pismach konserwatywnych: „buntownik! zwodziciel! — zbrodniarz!“ — czyż mogę na to wszystko milczeć?

Różnicę tedy postępowania i pisania mego wywołuje ta nieszlachetna taktyka przeciwników i te nieustające napaści — którym z konieczności i obowiązku bronić się muszę. A bronię się uczciwie — bo albo odpowiadam przed trybunałami, albo w gazecie, — a tu i tam „p r a w d ę“ — która może być gorzką, podlaną żółcią, ale nie ma na sobie piętna środków, przeciw mnie używanych.

Zważywszy zaś wszystko, co mnie spotkało — a choćby to jedno, że mi na czole chciano wypalić piętno prostego zbrodniarza — a godność kapłańską sponiewierać wyrokiem prywacyi: wszystko co dotychczas w obronie mej napisałem i powiedziałem, jest jeszcze ł a g o d n e m i s ł a b e m.

Takie zarzuty, wedle zasad świata, zmywa się krwią — a tam, gdzie jest bezstronność i sprawiedliwość, sądy je karzą więzieniem. — Jeżeli więc ja poprzestaję na dotychczasowej mej obronie — to to najlepszy dowód, żem nie zaślepiony.

Nie, Czc. P., zaślepiony nie jestem, wiem co czynię, buntu ani nienawiści nie głoszę, ale to samo mówię o naszej szlachcie, co Ty o niej napisałeś. — Cierpienie i doświadczenie nie zaślepia, ale raczej wzrok rozjaśnia, więc dziś jak na początku mego działania powtarzam z Tobą: „Kochajmy Ojczyznę, kochajmy *sprawiedliwość*“ —„naród bez chłopa być nie może!“ — A zdanie, jakobym ja sam tylko o tem dyskutował — po części nie słuszne, bo przecie Czcig. P., cytujesz słowa włościanina p. Potoczka i Wójcika; a zatem i włościanie dyskutują o tem. Jeżeli zaś szlachty nie ma na wiecach, któż temu winien? Toć ona sama, albowiem na wiec nikomu wstęp wzbroniony nie jest. Winna ona sama, i to nie od dzisiaj, bo na wiece, (nie będące wcale „nowem“ zjawiskiem) które, już w latach 1878 do 1883 zbierałem w Krakowie, Przemyślu, Jarosławiu itd., zapraszałem bardzo usilnie szlachtę, ale tylko raz w Krakowie i raz w Jarosławiu dali się na nie ściągnąć i przemawiali na nich ś. p. Wł. hr. Koziebrodzki i ś. p. hr. Wodzicki. — A zaś od r. 1883, gdy do Krakowa zjechało 12.000 chłopów, taki strach padł na klikę krajem trzęsącą, że nietylko na wiece iść nie chciała szlachta, ale tak wiece, jak i ich organizatora, zgładzić z widowni świata usiłowano.

Jestem też mocno przekonany, że Twoje, Cz. P., „Kilka słów“ będą głosem wołającego na puszczy! — Do pracy wedle rad Twoich nikt się nie ruszy, w czem bodajbym był fałszywym prorokiem; czy zaś ktoś, któremu zarzucasz nieporadność (co w całym Twym pięknym artykule jest jedynym czarnym punktem) coś nowego dla przeszkadzania wiecom nie wymyśli, choćby dla pokazania że jest pomysłowym, tego niewiem — ale to stanowczo powiem, że jak wszystkie poprzednie „n i e z r ę c z n o ś c i,“ i ta nowa — byłaby równie bezskuteczną.

Kto zguby szuka — płynie przeciw prądowi, a głupi stawia tamę w poprzek rzeki i sam wywołuje zniszczenie. Mądry reguluje i ubezpiecza brzegi, by fala korytem właściwym spłynęła.

„L u d s i ę r u s z y ł“ — tego nikt nie zaprzeczy, chyba ten, co ma oczy a nie widzi — ja więcej powiem: *lud dał dowody swej dojrzałości politycznej*, (oczywiście nie w całej masie swojej) a temi dowodami są: że sam zaczął zakładać swoje chłopskie komitety wyborcze — wybrał swoich posłów i swój klub ma w sejmie — założył *pierwszy* polityczne swoje towarzystwo i garnie się na wiece.

I to dowód wielki dojrzałości ludu, że nie dał mi upaść, choć mnie wszystkie władze i powagi przywaliły ciężarem swoim — a obecnie na podpisy kilkuset księży, odpowiedział oświadczeniem, podpisanem już przez kilkanaście tysięcy włościan.

Po tych dowodach, kto oczów sobie rozmyślnie nie zasłania, powinien zrozumieć, że gdy z jednej strony „uszczuplony szacunek szlachty w domu" — a niestety przez śmiesz ne protesty także Duchownych powaga zachwiana, gdy dalej „wyczerpane środki repressyi i niezręczności" — a z drugiej strony zorganizowane stronnictwo chłopskie, to obecnie, najpierw, dalsze szukanie środków nie licujących z godnością, powiększyłoby zamęt i przygotowało grunt, chyba „awanturnikom i socyalistom," — a powtóre, nie czas też teraz dopiero „zabierać się do poznawania rzeczywistych potrzeb ludu, lub ubiegać się o postawienie się samemu na czele ludu i opanowanie jego ruchu." —

Z tem wszystkiem już się szlachta spóźniła, a raczej tego nie chciała, gdym jej to mówił, temu lat 20. — Dziś zatem pozostaje to jedno, co komentując, Twój Czcigodny Panie, artykuł, pisze „Gazeta Toruńska:"

„Czytelnicy nasi mają wystarczający materyał do wyrobienia sobie zdania o tym ruchu, więc ocenią sami, czy rady „szlachcica rolnika" Naddniestrzanina — trafne i dobre...

To jedno zdaje nam się z góry trafną i niezbitą uwagą, że potępianiem, namiętną polemiką, odsądzaniem osób przeciwnego zdania od czci i wiary, stawianiem p r z y w ó d c ó w p o d p r e g i e r z niejako — nic zgoła się nie zrobi!

I zdaje nam się dalej, że choć u nas powiedzieć nie można i nikt też nie powiedział, że „chłopska sprawa, to krzywda chłopska", ani też dalej nikt u nas „kiełbasy i wódki wyborczej" wytykać nie może, mimo to, nie brak przymówek i wytykań, które usunąć trzeba i można, jako przeszkody do porozumienia i dalszej zgody.

Nadewszystko zaś, za święty wziąść sobie należy obowiązek, wejścia między licznych liczbą, głośnych krzykiem i roznamiętnionych pierwszem zerwaniem się do protestu.

Wejść tam należy n i e w i m i ę s z l a c h e c t w a, n i e z marsowatem czołem s t r o f u j ą c e g o m e n t o r a lub „przełożonego," ale jako brat między braci, bez mniemania o sobie, że się c z y n i p o ś w i ę c e n i e i r o b i z s i e b i e o f i a r ę, ale raczej w szczerocie i prostocie prawdy, która taką się podaje, jaka jest i być musi — bezinteresowna, cicha i na sobie przystająca."

A że tylko wedle tej rady „Gazety toruńskiej" szlachta dziś postąpić może, tego dowodem właśnie ten Śląsk, na który się, Cz. Panie, powołujesz, twierdząc, że tam, tj. na Śląsku, P o l s k i p r a w i e z a b r a k ł o, — bo zabrakło polskiej szlachty." Trzeci rok mieszkam na Śląsku — i uważam to za zrządzenie Boże, że mnie tu „wypchnęły" niemiłosierne prześladowania, za które dziś z tego względu nie tylko zemsty nie czuję, ale wdzięczny jestem. A zbadawszy stosunki, powiem, że wprawdzie zabrakło tu szlachty — i jest z tego powodu szkoda — ale P o l s k i t u n i e z a b r a k ł o — a chłop tu Polskę trzyma i broni jej bez s z l a c h t y! Zabrakło szlachty — ale gdzież się podziała? Wszak są tu Sałkowscy, Siedlniccy, Wilczkowie, Kluccy i inni. Ale w s e r c a c h i c h z a b r a k ł o P o l s k i — k t ó r a z a c h o w a ł a s i ę w s e r c u c h ł o p a. Jeżeli tu czuć jaki brak Polski i szlachty, to o tyle, że szlachta mająca większość w Kole polskiem, zasklepiła się w „galicyjskim patryotyzmie" — zaklina się, że broni dobra „kraju" — a w tych pojęciach oczywiście nie ma miejsca na Śląsk, a ztąd, nie ma tego poparcia sprawy polskiej „po za galicyjskim krajem" jakiegoby potrzeba. Tylko ramię mściwości sięga aż na Śląsk, aby utrudniać pracę temu, który Polskę wszędzie tam widzi, gdzie jest lub być może „chłop patryotyczny."

A zatem skończę tak: Kto jako Ty, Czcig. Panie, poznał się na mizernej roślinie „galicyjskiego patryotyzmu" — kto uznaje „niewłaściwość trzęsienia krajem przez jedną klikę;" kto widzi, że „naród bez chłopa być nie może" — i że „grzechem nowym są wybory u nas przeprowadzane — a każdy grzech mści się w życiu człowieka i narodów;" kto poczytuje za złe, że „nikt włościan nie pyta, kogo oni posłem mieć pragną" — kto wreszcie uznaje, że „niesprawiedliwością jest za wieloletnią szczerą pracę" nadgradzać „niemiłosiernem prześladowaniem" — ten niech będzie pewnym też tego, że znajdzie zaufanie i spółpraca jego w sprawie ludowej, będzie szczerze przyjęta i należycie oceniona. Ten wreszcie, jeżeli Ojczyznę miłuje, niech ratunku czy sukursu od władz, czy świeckich czy duchownych, nie wzywa ani go nie czeka, ale pracuje nad „koalicyą" tych wszystkich ludzi dobrej woli i stronnictw, które nie burzenie i wywracanie — ale budowanie „nowego gmachu" Ojczyzny na sztandarze swoim wypisały.

„O p a n o w a ć s i ę" nie damy, ale spółpracować dla dobra i przyszłości Ojczyzny — zawsze gotowi jesteśmy. „A la geurre, comme á la guerre" — padać muszą ostrzejsze razy, ale sprzymierzeńcy, a zwłaszcza pogodzeni bracia wzajemnie się nie sieką, lecz połączonemi siłami walczą przeciw wspólnym wrogom, — a tych przecie jest tyle, że doprawdy, grzesznem jest, trawić czas i zasoby na braterskiej walce. *Dixi.*

Przyjm Czcigodny Panie, wyrazy prawdziwego szacunku, z jakim pozostaję sługą w Chrystusie najlichszym

W Cieszynie 12 grudnia 1893. X. Stanisław Stojałowski.

„Kto ołtarzowi służy, z ołtarza żyje."

Księga Lewiticus cała świadczy, że z pierwszą chwilą, gdy Bóg ustanowił kapłaństwo, zaopatrzył też kapłanów w potrzeby doczesne, nakładając na lud obowiązek składania ofiar, potrzebnych do ich wyżywienia.

Po przejściu żydów do Ziemi obiecanej, Lewici nie mieli działu w posiadaniu i używaniu ziemi, ale za to inne pokolenia miały obowiązek dostarczać im czego potrzebowali. Zabezpieczało ich to od niedostatku, a z drugiej strony, umożliwiało pilnowanie bez troski o chleb doczesny, służby ołtarza i kościoła.

Pan Jezus powoławszy uczniów do tego, aby byli rybitwami ludzi, kazał im wprawdzie opuścić i porzucić wszystko co mieli, ale z drugiej strony tak pamiętał o ich potrzebach doczesnych, że mógł ich potem zapytać: *„Num quid aliquid defuit vobis?* „Czyż Wam czego brakowało, gdym Was posyłał bez taistry? itd."

Święty Paweł oświadczył wprawdzie, że to czego potrzebował — *operaverunt manus istae* „zapracowały te

ręce,“ ale mimo to jego to są słowa: „Kto ołtarzowi służy, z ołtarza żyje“ — przez które z jednej strony wiernym przypomina obowiązek wspierania kapłanów, a z drugiej stawia ogólną zasadę, że kapłan w moc kapłaństwa, ma prawo do zapewnionego bytu.

To też Kościół święty nikogo na kapłana wyświęcać nie pozwala bez tak zwanego *titulum mensae*. — Cóż jest to titulum mensae, czyli jakby po polsku powiedzieć można, zabezpieczenie stołu? Jest to rękojmia i zapewnienie, że ten, który kapłanem zostaje, będzie zawsze miał tak zabezpieczone przyzwoite i odpowiedne stanowi utrzymanie, że nigdy nie będzie zmuszonym, czy to szukać zajęcia niezgodnego lub niestosownego z powołaniem kapłańskiem, czy też wyciągać rękę po wsparcie, czy wreszcie doświadczać niedostatku.

Że takie jest znaczenie tego titulum mensae (zabezpieczenia stołu) to żadnej nie podlega wątpliwości.

Tej samej zasady trzyma się Kościół przy wszystkich fundacyach czy erekcyach probostw, biskupstw, kościoła itd., żąda bowiem zawsze zabezpieczenia odpowiednego funduszu, aby ten, który do jakiegoś obowiązku kościelnego powołany będzie — nie musiał dla niedostatku od niego się odrywać, albo takowy zaniedbywać.

Dla tego to nazwano fundacye kościelne „beneficiami“ — dobrodziejstwami, bo one rzeczywiście dobrodziejstwo zapewniają temu, który je posiada.

Zasada ta ma zastosowanie tak powszechne, że nawet w razie gdy duchowny z jakiejś posady ustępuje, czy dobrowolnie czy na mocy prawa, zawsze następca, jeżeli zkądinąd byt poprzednika nie jest zabezpieczony, musi za siebie przyjąć ciężar jego utrzymania, zatem i przy prywacyach w myśl prawa kościelnego dodaje się: „salva congrua“ — czyli z zastrzeżeniem stosownego utrzymania.

Z wszystkiego wynika że „pozbawienie kapłana utrzymania należnego mu z funduszów Kościoła“ — sprzeczne jest z prawem bożom i kościelnem i z pojęciem sprawiedliwości.

A tyczy się to tak proboszczów jako i Wikarych. Wikary albowiem jest tak samo kapłanem i tak samo jak każdy inny ma *titulum mensae*.

A te uwagi uważaliśmy za potrzebne przypomnieć w obec powtarzającego się często faktu, że XX. Wikarzy w celach jakoby *emendationis* bywają puszczani na wolną stopę, na życie własnym przemysłem — bez względu czy lato czy zima — na tak zwaną „zieloną paszę.“

Nie dosyć, że ten sposób *emendationis* mija się zupełnie z prawem kościelnem i narusza titulum mensae, a więc jako taki nigdy nie może być prawnie i sprawiedliwie zastosowany, dodać jeszcze potrzeba, że mija się zupełnie z właściwym celem. Bieda jest w ogólności złym doradcą, jakże więc można przez niedostatek i biedę, przez stłoczenie i poniżenie, chcieć kogoś poprawić?

Takiej praktyki nie używa się też w żadnej innej należycie urzędzonej publicznej instytucyi, nie mówiąc już o państwowych. Urzędnik najlichszy, choćby o ciężką zbrodnię oskarżony, pobiera alimentacyę aż do chwili prawomocności wyroku; to samo czyni każda porządna i uczciwa prywatna instytucya. Jest to więc poniżeniem nietylko kapłana, ale Kościoła, które też mści się srogo, bo pociąga za sobą częstokroć najsmutniejsze skutki.

Kronika.

Jeszcze słowo. Kalendarzy może nie zdołamy rozesłać z tym numerem wszystkim, ale je roześlemy w przyszłym tygodniu z następnym. W następnym numerze umieścimy ważny artykuł: „Reforma w Kościele katolickiem“ i — „Owce protestów“. Nr. ten roześlemy wszystkim Duchownym gratis na kolendę!

Stało się! Czekanie nasze na sprawiedliwe i pokojowe załatwienie naszych zażaleń na nic się nie zdało. — JX. biskup tarnowski mimo doręczonego mu zażalenia nie odpowiedział. IE. X.Arcybiskup Morawski zażalenie na zamknięcie nam kościoła w Limanowej odrzucił, a na nas jeszcze karę nałożył za odprawienie mszy in altari portatili. To sprawiedliwość arcykapłańska! Przeciw tym dekretom wnieśliśmy więc rekurs do Ołomuńca, a równocześnie, skoro już procesować się trzeba, zażądaliśmy wznowienia procesu kulikowskiego. Nie chcąc w „Dzwonie“ zabierać temi sprawami miejsca, akta całe drukować będziemy — i na żądanie roześlemy bezpłatnie.

Szlachcic-rolnik z nad Dniestru. Artykuł z nr. 271 „Gazety Narod.“ — na który powyżej odpowiadamy, powinniby przedewszystkiem odczytać księża protestujący, o których tak pisze: „A Duchowieństwo drukuje całe szpalty bezsilnych i śmiesznych protestacyj, które co najwyżej mogą mieć tylko ten skutek, że ks. Stojałowskiego coraz bardziej pod udzają, a ufność włościan nie do ks. Stoj. ale do samych protestujących osłabić muszą.“

Dekret kongregacyi de Propaganda fide zezwalający przyjmować *Komunię św. w którymkolwiek obrządku*, brzmi w wiernym przekładzie z łacińskiego dosłownie tak: „Dekret S. K. de Pr. F. dla spraw obrządku wschodniego. W różnych okolicach katolickiego świata, gdzie wierni rozmaitych obrządków pomieszani ze sobą mieszkają, często pożałowania godnem jest to, że niektórzy nie mają kościoła i kapłana własnego obrządku. Z tego wynika, że niektórzy z nich pragnąc zadość uczynić własnej pobożności, a oraz zachować żarliwość chrześciańskiego życia przez uczęszczanie do Sakramentów wedle własnego obrządku, ustawicznie Stolicę świętą proszą o udzielenie przywileju przyjmowania Komunii św. w innym obrządku, także w tych przypadkach,, które z prawa nie są dozwolone; inni zaś i to bardzo liczni dla tej samej przyczyny dochodzą do długiego zaniedbania Sakramentów z wielką ich życia duchownego szkodą.

Temi prośbami i złemi skutkami powodowana św. Kongregacya Rozkrzewiania Wiary dla spraw Obrządku Wschodniego, pragnęła stosownem jakiemś i zbawiennem zarządzeniem temu zaradzić. Przeto za poradą (ex consilio) Ich Eminencyj Ojców rzeczonej św. Kongregacyi, Ojciec św. Leon XIII. na sprawozdanie Najprzew. IX. Augustyna, Arcybiskupa Larisseńskiego, Sekretarza Kongregacyi Rozkrzewiania wiary na posłuchaniu dnia 2 lipca roku 1893 następujący dekret wydać i ogłosić polecił — mianowicie:

„Ażeby skuteczniej popierać częste przystępowanie do śś. Sakramentów, które są najdzielniejszymi, od Pana Jezusa ustawionymi, środkami do zbawienia duszy, i aby tem dogodniej usunąć podwójną powyżej wymienioną niedogodność, udziela się na przyszłość wszystkim wiernym któregokolwiek obrządku, łacińskiego czy wschodniego (ruskiego), mieszkającym w miejscach, gdzie niema kościoła lub kapłana własnego ich obrządku, pozwolenia ze strony Stolicy świętej, ażeby Komunię świętą, nietylko w godzinę śmierci i dla dopełnienia przykazania wielkanocnej Komunii, ale też każdego czasu z pobożności przyjąć mogli w obrządku kościoła, który się znajduje w miejscu ich pobytu, byleby on był katolickim. — Poleca się biskupom, ażeby o treści niniejszego dekretu zawiadomili lud im powierzony. — Dan w Rzymie w gmachu tejże Kongregacyi dnia 18 sierpnia 1893. Za Kardynała Prefekta † E. Augustyn Arcybiskup Larissański. Alojzy Veccia. Sekretarz.“

Dekret ten dla naszej Galicyi wschodniej jest niezmiernej doniosłości i usunąć może wiele nieporozumień.

Uczta na cześć JE. ministra Madeyskiego o ile sądzić można ze sprawozdania „Czasu“ była nudna i bardzo urzędowa. Ks. prałat Chotkowski miał najłatwiejsze zadanie, bo nie potrzebował kadzić panu ministrowi, wznosząc toast na cześć monarchy. W gorszem był położeniu profesor Zoll, ale przyznać mu trzeba, że wcale zgrabnie wywiązał się ze swej roli. Za to toast „Kochajmy się“ prezesa Akademii hr. Stanisława Tarnowskiego, przeszedł oczekiwania nawet tych, co się nie rozkoszują, pływając po morzu ckliwych frazesów. Hrabia, profesor, doktor, prezes, radca szkolny itd., wzniósł się na wyżyny takiej frazeologii, że nietylko wszystkim uczestnikom, ale i jemu samemu odbijać się ona musiała przynajmniej przez dni kilka. Bo czego tam nie było: i Mane Thekel i Memento mori, i to, że nowy minister objął władzę nad rozumem (!!!!????) państwa, było i „środowisko, bez którego geniusze marnieją,“ było dwadzieścia razy powtórzone, że „kochając trzeba chcieć“, były wreszcie całe tuziny jakichś „dźwigań“, które pomimo wszelkich usiłowań mowcy, nie wydźwignęły go z płytkiego gruntu rozbujałych fluktów. Naturalnie, że Szujski był dwa razy cytowany, bo pan hrabia, profesor, prezes itd, jeżeli kto kichnie, woła natychmiast: „na zdrowie! jak mówił Szujski.“ Smieszność ta niby nie szkodziła, gdyby pan hrabia nie czynił tem krzywdy Szujskiemu, bo przecież trzeba mieć szacunek dla zmarłego przyjaciela, i nie przytaczać jego częstochowskich rymów. Wprawdzie Szujski był miernym poetą, ale zawsze dużo więcej lepszych wierszy napisał, od tych prawdziwie nędznych, jakie przytoczył pan hrabia. Daje to miarę krytycyzmu pana hrabiego.

Mowa JE. ministra składała się, jak to widzimy z „Czasu“ z dwóch części. W pierwszej wyjaśniał p. minister, co to za szczęście dla kraju i narodu, że go powołano na ministra wyznań i oświaty. To szczęście zyskaliśmy nietylko przez to, że nauka polska współzawodniczy dziś z nauką najwięcej ucywilizowanych narodów, ale i temu, że delegacja polska z niesłychanem poświęceniem (oj! oj!) i takąż odwagą (cztery razy oj!) pracuje dla kraju i państwa. Do czego ta praca — doprowadza mamy nowy dowód w mianowaniu profesora Madeyskiego członkiem ministerium księcia Windischgrätza. Druga część toastu JE. ministra dawała nam poznać mało znane dotychczas (w tym kierunku, o którym mowa) zasługi JE. Badeniego. Słuchacze i czytelnicy „Czasu“ dowiedzieli się, że na pana namiestnika „w krytycznej państwa potrzebie zwróciły się oczy wszystkich“, że wysilił on „całą potęgę swojego talentu, rozumu, poświęcenia i patryotyzmu,“ aby uratować to krytyczne położenie. Stąd „po przebytym przełomie rozbrzmiewa sławą imię naszego rodaka po szerokich państwa przestworach, wdzięcznem echem podają je sobie i niebotyczne Tatry, i szczyty Alp i głazy Karstu.“ Warto by naprzód poczekać, co zrobi ministerjum ks. Windischgrätza i czy rzeczywiście głazy Karstu będą miały powód do wdzięczności. Nie mamy miejsca w „Pracy“ opisywać, jak się dalej chwalono, kochano, wielbiono, jak sobie nawzajem przypisywano naukę i serce, i poczciwość. Dość, że zjedzono co było do zjedzenia, a p. minister poszedł na przedstawienie „Fałszywych poczciwców,“ gdzie, jak „Czas“ donosi, został do samego końca. — Tyle „Praca.“ — Widać że świat przeciera oczy — i poznaje się na wielkości brylantowego mowcy z wiecu katolickiego.

„Młoda Polska.“ — Z przyjemnością przytaczamy tu z „Pracy“ nr. 13 z 5 grudnia b. r. ustęp z artykułu pod tytułem: „Z rozmyślań listopadowych,“ który świadczy dowodnie, że zasady i cele, któreśmy głosili — i z płaczem zasiewali, zyskują coraz więcej zwolennników — i kroczą ku zwycięstwu. Ustęp ten brzmi:

„Dziś... listopad w naszej ojczyźnie... opadła i uschła kwitnąca przeszłość nasza!... Wskrzesić ją trzeba — a przecież nie tą samą, lecz inną. Zwiędłe wieńce pychy, kastowości, rodzonych przywilejów, niech suchemi pozostaną na zawsze, niech dla nich nigdy nie skończy się listopad! Polska feodalna, magnacka, Polska gnębiąca Ruś i Kozaczyznę, Polska ciemiężąca swych włościan, niechaj śpi w swym grobie! Pięknie jej w tym karmazynowym kontuszu z herbowemi tarczami dokoła, ze złotą księgą szlacheckich przywilejów w ręku — ale nie budźmy jej ze snu. Nam, innej Polski potrzeba, Polski bez tytułów i herbów, bez kast i przywilejów, Polski z sercem macierzyńskiem dla wszystkich swych dzieci! Takie więc ziarno zasiewać mamy w jesieni, jaką roślinę ujrzeć pragniemy na wiosnę. Praca nad ludem — to ziarno a kwiatem — Polska odrodzona. Żal za przeszłością nam nie przystoi i próżną byłaby tęsknota za tem, co bezpowrotnie minęło. Takie już bowiem prawo jest w przyrodzie, że najpiękniejsze lato brzydką kończy się jesienią, a słoneczne lipca uśmiechy, łzami listopadowych deszczów okupić potrzeba. Szczęście człowieka czy krzak różany — to jedno. Prędko opadają kwiaty, by zostawić ciernie... Lecz jest i drugie prawo — wedle którego i przyroda i człowiek zamierają po to, by ożyć na nowo. Z zimy i śmierci wykwita wiosna i życie. Musi przyjść grudzień koniecznie, za nim maj zabłyśnie. Śnieg jest zawsze zwiastunem zieleni i kwiatów, grób mówi o nieśmiertelności, koniec czasu wieczność zapowiada, a zgnilizna wróży zmartwychwstanie. Tak samo dzieje się i w życiu narodów. Śmierć ich jest tylko fazą przejściową. Pod lodową skorupą, czy pod trumny wiekiem tkwi zaród życia, drzemią tajemnicze siły odrodzenia, wyczekując tylko ciepłego wiosny powiewu.

INSERATY.

Drukiem „Macierzy katolickiej“ w Czacy.